

Andrzej Horubała: Ptasia i zakonnica

Zanurzenie się w skorumpowany świat Polski początku XXI wieku.
Ofiary transformacji i jęk o wybawienie. Warszawa-Zakopane-
Łagiewniki w nowym opowiadaniu Andrzeja Horubały.

Gdyby wystawiano to w teatrze... Ale czemu miano by to pokazywać na scenie?! No ale gdyby, to technicy zamontowaliby na sztankietach przemysłne urządzenie, które zakonnice w powiewnym czarnym habicie uniosłoby wysoko nad scenę. Upozowana niczym w filmie kung fu – z jedną nogą podkuloną a drugą wyprostowaną – poszybowałaby nad zadartymi głowami publiczności, zmierzając ku tobie. Niech się przemieszcza wolno wolniutko. Niech płynie w powietrzu niczym mnich-wojownik z klasztoru Szaolin, a jej habit i welon niech falują od strumienia powietrza z umieszczonej wysoko nawiewnicy. Może nawet siostrzyczka zastygnąć na chwilę i lekko obrócić się wokół osi. Napięte, wytrenowane ciało. To ma być popkulturowy pastisz. A potem lądowanie i nagłe przyspieszenie, świetnie zamarkowane uderzenie stopą w splot słoneczny, walisz się na deski, linka wypina się z uprząży, uwalnia aktorkę i wśród braw zachwyconej widowni (zakonnice zawsze powodują w teatrze wybuch radochy, wiadomo) zaczynamy przedstawienie. Leżysz i zwijasz się z bólu, siostra krzyżuje i energicznie prostuje ręce wykonując puentujący gest karateki.

Ale i tak, bez tej teatralnej przesady ten epizod musiał wyglądać niezwykle. Półmrok, lekka mżawka, a może to mgła wisząca w powietrzu, dziedziniec sanktuarium, ty próbujący odłupać kamienną płytę i po zdecydowanym „co pan tu robi?!” siostrzyczki, która podeszła cię bezszelestnie, odwracasz się trochę zbyt gwałtownie, może rzeczywiście wyglądasz dość groźnie ze śrubokrętem w ręku, w każdym razie ona, nie namyślając się, zajmuje pozycję i jej noga wystrzela i wbija ci się właśnie w splot słoneczny. Kulisz się, ale lecisz do tyłu, walisz w ścianę, padasz, śrubokręt toczy się pod murek.

Potworny ból, szok, przerażenie, próbujesz złapać oddech, nie możesz, boli, kulisz się na mokrej ziemi, a twoja oprawczyni pochyla się nad tobą w złowrogim czarnym habicie.

Albo inaczej: wśród wielu tablic donatorów, składających się na budowę sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach, pod oczywiście słynnym Romanem Kluską z rodziną, który zajmuje honorowe miejsce, umieszczony wśród purpuratów, budowniczych, absurdalnego Mostostalu i możliwych tego świata, mamy cegiełki od zwykłych ludzi: małżeństw z dużych i małych miejscowości, kół Radia Maryja, proboszcza skądś. Każdy ma swoją historię, wielu dziękuje za cud, ktoś podjął mocne postanowienia, ktoś wyrwał się ze szponów nałogu, inny tęsknił za ojczyzną. Różnie reagują te płyty na zmienną pogodę, niektóre stają się mętne, litery na nich blakną, inne matowieją lub pstrzą zielonkawymi krostami. Siostrzyczki pielęgnujące ową ścianę wdzięczności czyszczą te tablice, przycinają pnącza i wrywają chwasty, by nie przesłaniały tych dwudziestu paru przęseł muru. Ludzie, którzy ofiarowywali czasem wdowi grosz (grosz jak grosz, obowiązywały ściśle określone minima), ludzie zasługują na upamiętnienie. Więc choć modlitewna hala wzniesiona z ofiar wiernych nie grzeszy urodą (powiedzmy sobie szczerze: jest okropna jak jakaś gigantyczna dworcowa poczekalnia i raczej nie skłania od intymnej modlitwy), to trzeba trzymać klasę i honorować darczyńców.

Jedna z kamiennych płyt może wzbudzić zainteresowanie pielgrzyma. Lakoniczny napis na niej głosi: „Ufamy”. Tylko tyle. Żadnej miejscowości, żadnego symbolu.

Historię tej tablicy wotywniej chcemy wam opowiedzieć. Ku przestrodze? Ku nauce? Największy problem w tym, że nie za bardzo wiadomo, co z tej historii wynika i co się z niej wykluje.

Wchodzimy w XXI wiek, po Polsce toczy się rozklekotany walec transformacji, pobrzękując dzwoneczkami, kasa płynie z rąk do rąk, foliowe torby, klikanie zamków od neseserów wypełnionych banknotami, dziwne przelewy, hojni sponsorzy, uśmiechy i jakoś to idzie. W kinach królują polskie komedie o mafii, w których duży bije małego i częstuje nas zabawnymi grepsami.

Tak, to twoja tablica, świeżutka. Twoje wotum. Ale ostatnia rozmowa sprawiła, że zboczyłeś z drogi i zajechałeś swym audi do Łagiewnik. By unieważnić umowę i odczepić tę nieszczęsną tablicę. Tylko skąd miałeś wiedzieć, że jest ona tak mocno przytwierdzona i zwykły śrubokręt nie wystarczy. Na zdjęciach nie wyglądało to tak solidnie. No i dałeś się zaskoczyć niepozornej siostrze, która oczywiście jak większość mniszek miała swą historię sprzed ślubów zakonnych: jedna tu była wirtuozem gitary, inna pięknie malowała, a ta akurat trenowała dość zawzięcie karate, nim przerzuciła się na ostrą dyscyplinę postów i modlitw.

Oj, Andrzejku Andrzejku.

Trzy miesiące temu?

Byłeś w niebie. Tak.

Stoisz u boku Szyny wspierając dłonie o chłodną metalową barierkę i patrzysz na tańczący na dole tłum rozświetlany dyskotekowymi światłami. Sprowadzone z Anglii robią wrażenie. Rzutniki, wizualizacje. Najnowocześniejszy sprzęt w Polsce. Czujesz, jak przenika cię szczęście. Napełniasz się spokojem i pewnością. Psyk psyk sykają automaty wypuszczające dym, by lepiej kreślić smugi paskami skanerów. Półprzezroczysta szachownica na podłodze pulsuje w rytm.

Wolny od pożądań, spełniony. Czujesz spojrzenia tych wszystkich lasek i wiesz, że nic nie musisz. Jesteś panem. Niektóre wiedzą kim jesteś, inne mają rozkoszne znaki zapytania w oczach, ale skoro Szyna... skoro stoisz tam z Szyną, to musisz być kimś! Widzisz: bujna blondyna wskazuje na ciebie wzrokiem i przekrzykując męża, mówi coś do koleżanki. Szacun.

Skład na parkiecie mieszany. Mieszany jak ta inwestycja. Miesza się miasto z warszawką. Półświatek z nową elitą, dawne podziemie gospodarcze z dawnym podziemiem solidarnościowym. Młode wilki z partyjną młodzieżówką. Wszyscy wychodzimy na powierzchnię, by rządzić. Na bramce ludzie związani z komendą stołeczną. Na parkiecie

najlepsze dziwki z miasta – Szyna wziął swoje najelegantsze laski, wyselekcjonowaną ofertę, to przecież ich święto, a i damy z salonu, wszystkie gibią się w pulsujący rytm zapuszczanej muzy. Jedne są za pieniądze, inne za odurzający aromat władzy.

Czujesz się tu na podeście niczym na kapitańskim mostku. Zazdrosne spojrzenia planktonu męskiego i ty. We włoskim garniaku, w sztywnej wyprasowanej śnieżnobiałej koszuli, lśniącej fantastycznie w tym ultrafioletowym świetle, lekko tylko pocąc się.

Zerkasz na dłonie swoje i Szyny wsparte o barierkę.

Gruby ciężki sikor na przegubie Szyny, odbijający błyski dyskotekowej kuli, ale jednak rolex, nie jakiś badziew, i twój delikatny, czasem tylko wyłaniający się spod mankietu, subtelnie płaski patek philippe z paskiem z delikatnej skóry. Jaki symboliczny banał.

Otwarcie najnowocześniejszego klubu w stolicy. Pełna elegancja. To będzie instytucja prawdziwej kultury. Myślisz: dzieło moje, bo ja tu, z demokratycznego solidarnościowego wyboru, sprawuję władzę, no i Szyny i jego chłopaków, bo to w końcu ich jest miasto i ich kasa. Nie pierwsza to wspólna inwestycja, ale ta bardzo spektakularna.

Szyna cywilizuje się. To już nie tancbuda i cyrkowy namiot zwijany i rozwijany, stojący bez pozwoleń, to już nie jakaś mordownia pozbawiona klimatyzacji w pofabrycznej ruderze, gdzie szalały jakieś karki, a wszystkie dziewczyny kelnerki niekelnerki dymane były jak popadło, o nie, tu ma być pełna kultura i wyrafinowanie. Załatwiłeś mu to, przepchnąłeś zgody przez tych wszystkich urzędników miejskich, niezdarnie noszących za duże marynarki, niekiedy nawet z nieodciętymi metkami na rękawach, sądzących, że tak trzeba. Przybili swoje pieczętki ci plebeje wyniesieni nagle do władzy, w przykurzonych butach z topornymi podeszwami i za szerokimi noskami, z fryzurami po raz pierwszy profesjonalnie modelowanymi przez fryzjerki. Ale i oni się wyrobią.

Oto ty – rozgrywający sprawy i doprowadzający je do końca.
Modernizujący i swoich ludzi, i tych brutalnych chłopaków w
podrasowanych beemkach i tuningowanych golfach z
zaszpachlowanymi pordzewiałymi 8 Ptasia i zakonnicą Andrzej
Horubała progami, to ty, wprowadzający ich nie zawsze czyste
pieniądze w oficjalny obieg, w normalną gospodarkę rynkową. Będzie
dobrze. Jak ktoś się z tobą umówił na coś, to miał to załatwione jak w
banku. Można na tobie polegać.

To był ten dzień. Ten wieczór. Ty – wolny od namiętności, od tej
codziennej szarpaniny, pełen dumy ze wspólnego dzieła. Wiarygodne
partnerstwo.

Andrzej Horubała (ur. 1962) – pisarz, krytyk literacki, producent i
reżyser telewizyjny. Andrzej Horubała jest autorem monodramu
„Mono” (1991), powieści „Farciarz” (2003), „Umoczeni” (2004),
„Przesilenie” (2010), „Wdowa smoleńska albo niefart” (2021),
opowiadań „Mniszek” (2019) i „Hanka” (2023) oraz zbiorów szkiców
krytycznych „Marzenie o chuliganie” (1999), „Żeby Polska była sexy”
(2011), „Droga do Poznania” (2015), „Byliśmy tacy zakochani” (2018) i
„Ostatni akord” (2020).

Dzięki stypendium Fundacji Trzy Trąby oraz Jolanty i Mirosława
Gruszków Andrzej Horubała realizuje projekt historycznoliteracki dla
Teologii Politycznej, w który włącza się seria publikacji „Wielcy pisarze
PRL-u”.

Autorką strony tytułowej jest Aleksandra Horubała.

*Publikujemy fragment opowiadania Andrzeja Horubały: Ptasia i
zakonnica*